

I CO DALEJ?

AGNIESZKA
PESZEK

Rozdział 1

1987

– To nie tak, stary – krzyknął Witek Markowski i powoli zrobił krok do tyłu, unikając tym samym kolejnej wymiany ciosów z przeciwnikiem.

Większość osób uważała go za silnego i agresywnego faceta ze względu na jego muskularną budowę ciała. Cztery razy w tygodniu ćwiczył w garażu u Krótkiego, gdzie nikt nie stawał samochodu, bo jego ojciec trafił do więzienia po tym, jak pijany wjechał w ludzi na przystanku. Matka nie miała prawka, ale liczyła na powrót męża, dlatego zostawiła blaszak. Dzięki temu mieli miejsce spotkań, a także możliwość stworzenia czegoś na kształt sali ćwiczeń.

Wisiał tam worek bokserski zrobiony z kilku toreb na ziemniaki. Powkładali jeden w drugi, a następnie wysypali do środka piasek. Co jakiś czas musieli go uzupełniać, bo wysypywał się dziurami, ale im to nie przeszkadzało. W kącie mieli hantle o dziwnych kształtach, które zrobił im wujek Krótkiego. Oczywiście najpierw sami musieli pozbierać złom, a kowal im

to przetopił i uformował ciężarki. Sami zbudowali ławeczkę, na której wyciskali, pocąc się i sapiąc niemiłosiernie. Brakowało jeszcze sztangi, ale z tym musieli poczekać na lepsze czasy.

To dzięki regularnym ćwiczeniom Marek, jak nazywali Witolda Markowskiego znajomi, miał wyrzeźbione bicepsy i mięśnie klatki piersiowej tak twarde, że nie pogardziłby nimi niejeden sportowiec. A mimo to bał się stojącego przed nim Gawora. Oczy przeciwnika poruszały się nienaturalnie. Nie tak płynnie jak u większości osób, ale w taki poszarpany sposób. Jakby były sterowane maszyną, a ta nie potrafiła wykonywać gładkich ruchów. Ale nie tylko to przerażało Witka. Chłopak szczyrzył zęby jak przywiązany do budy pies, który swoim szczekaniem i postawą chce przepędzić intruza. W przypadku zwierzęcia jest jednak szansa, że sznurek się nie zerwie, a Gawora nie ograniczało nic. Mógł w każdym momencie rzucić się na przeciwnika i miał realną szansę wyjść z tego starcia zwycięsko.

– „To nie tak, stary” – rzucił prześmiewczo i splunął kilka centymetrów od butów Markowskiego. – Ty tak serio? Myślisz, że jestem jakimś debilem? – wycedził, plując przy tym przez ciemne od próchnicy zęby. – Myślisz, że nie widziałem, jak ślinisz się do mojej siostry?

– Ja też widziałem – wtrącił stojący obok Kondziu, a dokładniej Konrad Brzeziński.

Przyjaciel, kolega od flaszki, kompan do bitki – tak można było w skrócie opisać łączącą go z Gaworem więź. Znali się od zawsze, a od kilku lat praktycznie nie rozstawali. Od kiedy przestali chodzić do szkoły w wieku szesnastu lat, od rana po późny wieczór szlajali się po okolicy i szukali guza, taniego zarobku lub możliwości zwinienia czegoś komuś.

– Heła to nie laska w moim typie – powiedział Markowski i od razu tego pożałował.

Helena Gaworska była przeciwieństwem swojego brata,

a także całej ich rodziny, zarówno pod względem wizualnym, jak i intelektualnym. Szatynka, stosunkowo niska, o bardzo drobnej budowie. Przy swoim bracie wyglądała jak Calineczka. Na dodatek uwielbiała książki i szkołę, na co Gawor miał alergię.

– Czyli że co? Moja siostra jest brzydka? Głupia? Czegoś jej brakuje? – dopytywał agresywnie chłopak, cały czas trzymając ręce wysoko, jakby w każdym momencie był gotowy, by wyprowadzić kolejny cios.

– Nie! – krzyknął Markowski. – Tylko ona nie jest moją dziewczyną.

– To czyją? Zabiję drania! – darł się niemiłosiernie Gawor, wywołując przerażenie u kolegów.

Witold Markowski patrzył na niego i zastanawiał się, czy on sam miałby w sobie aż tyle determinacji i zacięcia, aby tak wytrwale walczyć o swoją siostrę, niezależnie od tego, czy miało to sens, czy nie.

Rozdział 2

1987

– Co ci się stało? – spytała Marysia, wrzucając obranego ziemniaka do przygotowanego wcześniej garnka z wodą i sięgając po kolejnego.

Stojący przed nią brat wyglądał jak siedem nieszczęść. Lewe oko miał całe fioletowe i praktycznie zamknięte. Zawsze wydawało jej się, że jest wojowniczym niedźwiedziem, ale okazało się, że w dżungli chuliganów, wśród których się obracał, znalazł się jakiś bardziej drapieżny przedstawiciel gatunku.

– Różnica zdań – odpowiedział i usiadł przy kuchennym stole.

– Aha. Mama już to widziała?

– Nie. Po co ma widzieć?

– Myślisz, że nie zauważy? – skomentowała z uśmiechem, który ostatnimi czasy tak rzadko prezentowała.

Młodsza, piętnastoletnia siostra Witka Markowskiego zdecydowanie miała dość wszystkiego, a w szczególności swojego życia i ciągłych komentarzy dotyczących jej wyglądu czy

zachowania, które spadały z każdej strony. No, może nie od brata. Ale jemu również nie chciała nic tłumaczyć. I tak nie wierzyła, że zrozumie.

– Ostatnio nie zauważyła, więc może i tym razem się uda.

– Mama dokładnie wiedziała, że się łałeś. Zdziwię cię, nawet wiedziała, z kim i o co. Tylko nie chciała komentować. Z tobą nie da się rozmawiać. Zawsze wiesz najlepiej, jakbyś pozjadał wszystkie rozumy.

– No tak, bo z tobą konwersacja to sama przyjemność. Panna wiecznie obrażona na świat. Humor popędza humor. Nie można nic ci powiedzieć, bo się obrażasz. Wieczne muchy w nosie.

– Ja?! – krzyknęła i machnęła ręką, przewracając stojący na blacie garnek. Ziemniaki rozsypały się po całej kuchni, a woda wlała pod szafkę. Niestety krzywa podłoga powodowała, że za każdym razem zbierały się tam popłuczyny czy inne nieczystości, które komuś się wylały.

Od razu obydwójce rzucili się na podłogę, zbierając ziemniaki. Nagle jeden z nich trafił Marysię w głowę. Niepewnie spojrzała na Witka i zobaczyła zawadiacki uśmiech na jego twarzy. Podniosła najbliższy leżący obok niej kawałek warzywa i rzuciła w brata. Nie zrobiła tego mocno, mimo to ten padł na podłogę, jakby został rażony piorunem.

– Auuu! Jestem ranny! – Tarzał się po podłodze i udawał powalonego strzałem.

Marysia już miała doskoczyć do brata i swoim zwyczajem zacząć go łaskotać, gdy drzwi do kuchni otworzyły się z impetem i stanęła w nich ich matka. Uśmiechnięta zazwyczaj kobieta nie prezentowała obecnie swojego sympatycznego lica. Oczy miała zaczerwienione i cała drżała. Natychmiast zerwali się na nogi, ignorując rozsypane na ziemi ziemniaki, i podeszli do kobiety.

– Co się stało? – jako pierwszy spytał Witek.

– Coś ty narobił? – wyszeptała kobieta i spojrzała na syna zrezygnowanym wzrokiem.

Rozdział 3

1987

– Imię i nazwisko.

– Witold Markowski, ale mówią na mnie Marek.

– Pytałem o to? – spytał siedzący naprzeciwko po prawej stronie funkcjonariusz Nikodem Grylak.

Miał z pięćdziesiąt lat i niewiele ponad metra sześćdziesiąt wzrostu, a mimo to wzbudzał w dużo wyższym chłopaku strach. Markowski sporo nasłuchał się o milicji, o metodach przesłuchań i lęku, jaki wzbudza w ludziach, dlatego wiedział, że musi uważać na każdy gest i słowo, mimo że był niewinny.

Chłopak na co dzień uchodził za dość buńczuczny. Lubił słowne przepychanki, a od fizycznych nie stronił, jednak teraz wołał się nie wychylać. Wróg w postaci milicji był o wiele gorszy od Gawora i jego ekipy.

– Nie pytał pan – odpowiedział i spuścił wzrok.

– To nie udzielaj się nieproszony.

– Przepraszam – dorzucił zgaszony.

– Data urodzenia?

– Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty dziewięty, a dokładnie czternasty marca.

– Miejsce urodzenia?

– Poznań.

– Co aktualnie robisz?

– Kończę liceum.

– Liceum? – prychnął starszy mężczyzna. Siedzący obok niego młodszy aspirant, którego danych osobowych chłopak nie usłyszał, siedział jak zaczarowany, jakby bał się ruszyć. Wittek spojrział na niego parokrotnie, próbując nawiązać kontakt wzrokowy i trochę licząc na wsparcie. Mężczyzna miał niewiele więcej lat od niego.

– Tak, a dlaczego pana to dziwni? – spytał i od razu pożałował. Miał nadzieję, że nie zabrzmiało to jak zaproszenie do dyskusji. Nie miał na to zupełnie ochoty.

– A nic – odpowiedział tamten, a Witold odetchnął, jakby uciekł drapieżnikowi. – Przejdźmy do meritum. Zna pan Baltazara Gaworskiego?

– Baltazara? – krzyknął wesoło, jakby właśnie usłyszał najśmieszniejszy dowcip w swoim życiu.

– Tak, Baltazara. A co w tym śmiesznego?

– Nic. W sumie to nie wiedziałem, jak ma na imię. Gawor to Gawor.

– Rozumiem, czyli znacie się?

– Tak.

– Od kiedy?

– Hmm, chyba od podstawówki. On jest straszny o rok, przynajmniej tak mi się wydaje. Znam go z podwórka i nie pamiętam, jak dokładnie się poznaliśmy. To, co mogę o nim powiedzieć na sto procent, to to, że zawsze są z nim jakieś problemy.

– Czyli ma pan z nim na pieńku?

– Na pieńku? Nie powiedziałbym.

– Kto pana pobił? – Starszy milicjant pokazał palcem na jego twarz.

– A to? To tylko różnica zdań.

– Różnica zdań? Czyli nie ma pan nic wspólnego z tym, co się stało Baltazarowi Gaworskiemu?

– Nie wiem, co mu się stało, ale nie sądzę, żeby były to skutki naszego starcia. Nie będę tego ukrywać, ale niestety to on wczoraj był górą.

– Widział to ktoś?

– Tak, jego przydupas Kondziu i mój przyjaciel Sowa.

– O której miało to miejsce?

– Nie pamiętam. – Witek podrapał się po głowie, jakby to miało poprawić mu pamięć.

– Lepiej, żebyś sobie przypomniał.

– Hmm. To było około szesnastej, może siedemnastej. Potem jeszcze trochę położyłem z Sową, więc nie mogło być później. Siedzieliśmy na trzepaku za szkołą i gadaliśmy o głupotach.

– Z Sową, czyli Michałem Sowińskim?

– Zgadza się.

– Dobrze się znacie?

– Tak, przyjaźnimy się od jakichś dziesięciu lat.

– Jak długo tak sobie chodziliście?

– Rozstaliśmy się około dwudziestej, może dwudziestej pierwszej.

– Mamy świadka, który twierdzi, że groziłeś ofierze – wtrącił nagle siedzący dotychczas cicho funkcjonariusz po lewej stronie. Wyglądał, jakby dopiero co zaczął służbę i było to jego pierwsze przesłuchanie. Swoją posturą nie wzbudzał szacunku, a raczej uśmiech na twarzy. Za duży mundur i odstający przy szyi kołnierzyk świadczyły, że nawet nie dorósł do swojego służbowego ubrania.

– Ofierze? – spytał Witek zdziwiony. – Proszę spojrzeć na

mnie. To chyba ja jestem ofiarą. Ale nigdzie tego nie zgłosiłem. To były takie nasze szczeniackie wygłupy – powiedział z coraz większym lękiem w głosie. Dopiero teraz dotarło do niego, że musiało stać się coś poważniejszego niż jego bójka z Gaworem.

– Proszę powiedzieć, czy groził pan Baltazarowi Gaworskiemu?

– Nie.

– Nie krzyczał pan, że następnym razem skopie mu dupę i przyjedzie po niego karetka albo karawan?

Markowski patrzył na milicjanta i czuł, że pot spływa mu po plecach. Dokładne tych słów użył, gdy Sowa odciągał go z pola bitwy, na którym dostał srogie baty. Michał nie chciał dopuścić, aby przyjaciel ucierpiał bardziej.

– Może tak, ale to nic nie znaczyło. Takie głupie teksty wkurzonego człowieka, który przegrał.

– Jaki był powód waszej bójki? – dopytywał beznamiętnym głosem młody milicjant, na którego Witek tak liczył.

– Jak dla mnie, to było jakieś nieporozumienie. Nie mogłem zrozumieć, że to nie ja spotykam się z jego siostrą. Ktoś podobno złamał jej serce i teraz Gawor szuka winnego, bijąc się z każdym i oskarżając każdego osobnika płci męskiej. Tylko dlatego mi się dostało.

– W jakim stanie była ofiara, gdy się rozstawialiście?

– Naprawdę musicie go tak nazywać? Trochę to nie w porządku w stosunku do... – przerwał w pół słowa, widząc karzący wyraz twarzy Grylaka. – Czy mogę się dowiedzieć, o co tu chodzi?

– Czy to pan w dniu wczorajszym w okolicach dwudziestej pierwszej na terenie ogródków działkowych obok szkoły zaatakował Baltazara Gaworskiego?

– Boże, nie! – krzyknął, a widząc uśmiech zadowolenia na twarzy starszego z funkcjonariuszy, zrozumiał, że mu nie wierzą.

Niestety szybko okazało się to prawdą. Tłumaczenia i zapewnienia o własnej niewinności nic nie dawały. Wrzucono go do śmierdzącej salki dwa na dwa, która robiła za tymczasowy areszt, gdzie miał czekać na decyzję sądu. W końcu ten orzekł jedynie, że Witek jest niewinny. A później stało się coś znacznie gorszego.